

ROZMAITOŚCI.

Dnia 22. Kwietnia.

N^o 16.

Roku 1857.

POSŁUSZEŃSTWO.

Opowiadanie

przez

Józefa Korzeniowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Wtedy Emilka napisała list do matki, który malował stan jej serca, który kreślił jej boleść, że nie ma błogosławieństwa rodziców, a zatem tego, co dopełnia szczęścia każdej młodej kobiety, co jej daje rękojmię, że w pokoju doczeka wzrostu swych dzieci i od nich nawzajem miłości i wdzięczności doświadczy. Obawiając się, że matka nie ośmieli się pokazać tego listu ojcu, a pragnąc z duszy aby on go czytał, posłała go pod ojcowskim adresem. P. Jan rozpieczętował, a poznawszy rękę córki, i widząc na początku te słowa: „Najdroższa mamó!“ — chciał go odesłać żonie nie czytając. Ale po pewnem wahanu się, czy ciekawością zdjęty, o co prosi, czy może wzruszony cokolwiek widokiem tych liter, które mu przypomniały, jak starannie niegdyś Emilka formowała swą rękę dla przypodobania się ojcu, który ładne i czytelne pismo lubił, rzucił okiem na jej list raz, potem drugi raz, ścisnął mocno powieki, jakby chciał cofnąć nazad łzę co się może dobywała, i wreszcie cały przeczytał. Biedna kobieta nie wiedziała, że tym wybiegiem, którego użyła, aby serdeczna jej prośba do rąk się ojca dostała, pogorszy swój stan i matce wielką przyniesie boleść. Opisawszy bowiem, że została matką, że mąż ją kocha nad wszystko w świecie, że matka jego ma dla niej anielską dobroć, że chociaż miernie się utrzymuje, ale ma wszystko co do wygody, a nawet do niezbyt wyszukanej ozdoby życia potrzeba, dodała: „a jednak najdroższa matko! wszystko to szczęściu memu nie wystarcza. Nie dostaje mi najśłodszej pociechy życia, to jest tej myśli, że wy radujecie się mojem szczęściem, nie dostaje mi tego przekonania, że idę drogą, którą wasza ręka przeznęła, nie do-

staje mi tej rozkoszy, żebym widziała w oczach waszych miłość dla tej małej i niewinnej istoty, której dałam życie, której płacz rozdziera mi duszę, bo wiele razy go słyszę, zdaje mi się, że ona skarży się i wyrzeka, że przyszła na świat bez waszej woli i waszego błogosławieństwa. Zlituj się mamó najmiłsza, wstaw się za mną do ojca, niech mię tę okropną myśl odbierze. Jeżeli nie chce pozwolić, abym upadła do nóg jego, abym leżała przed nim w prochu póty, pókiby mię nie podniósł i nie przebaczył, to błagam go i zaklinam, niech choć zdaleka dziecko moje pobłogosławi, abym nie drżała o nie co chwila, i w każdym jego jęku nie słyszała tej straszliwej groźby, że życie jego będzie krótkie, żem nie zasłużyła być matką, kiedym córką być nie umiała. O! stan mój okropny. Gdyby nie to przypomnienie żeś ty najdroższa mamó! wówczas, gdyś na próżno prośby nasze do ojca zanosila, podzielała naszą boleść, że związek ten serc naszych nie był przeciwny twej woli, żeś go zatwierdziła kładąc ręce twe kochające na naszych głowach i przyciskając mnie i jego do swej piersi; gdybym nie była pewna żeś nam błogosławiła w duszy, i związała nas w swem sercu, choć usta twe milczały, mozebym już do tej pory umarła z bólu i zmartwienia, mimo to, że kocham Tytusa nad życie, że pragnęłabym żyć dla niego i dla tego dziecka, którebym rada wychować tak, aby wam dało zapomnieć tę boleść, którą ja, nieszczęśliwa, serca wasze zalała.“

P. Jan wszedł do pokoju żony i oddał jej list córki. Pani Janowa patrząc na twarz męża, przelekła się i drżącą ręką brała piśmo, które jej podawał. Był bowiem bledszy niż zwykle, muskuły kościstego i surowego lica drżały, brwi nasunione na oczy pokrywały ich gniewne wejrzenie, czoło było zmarszczone, a cała jego postać zdawała się jakąś wyzszą, chudszą i tak wyprężoną, jakby wkrótce strętwieć miała.

— „Jezus Marya! co ci jest Janie!“ — rzekła kobieta, wyciągając rękę po list, który drgał w twardych palcach męża.

— „Przeczytaj to“ — odpowiedział p. Jan — „a dowiesz się co mi jest, i kto jest przyczyną tego stanu, w jakim mnie widzisz. Nie dotrzymałaś mi przysięgi, jakąś mi uczyniła przed Bogiem. Oddzieliłaś myśl swą od mojej myśli, chęć swą od mojej chęci, błogosławiłaś to, com ja potępiał, widziałaś szczęście twego dziecka tam, gdzie ja widziałem jego zgubę. Teraz masz owoce tej siejby, jakąś bez mojej wiedzy i przeciwko mej woli zrobiła. Nie przyjmuję udziału w tej odpowiedzialności, jaka spada całkiem na ciebie za łzy i stan okropny tej nieszczęśliwej, co była kiedyś moją córką. Świadczę się Bogiem i sumieniem, że ja temu niewinien i zmienić tego stanu nie mogę i nie powinienem. Choć mnie łzy jej bołą, nie odwołam słowa jakie dałem. Mam drugą córkę, którą ochronić powinienem przykładem surowości, abys ją także nie postawiła na takiej drodze, jaką poszła tamta. Proszę teraz Boga, aby ci zapomniał, żeś była niebaczna matką i złą żoną, bo ja ci tego nigdy nie zapomnę.

To powiedziawszy p. Jan wyszedł, wszedł na przygotowaną bryczkę i na parę dni wyjechał do Skwiry, gdzie go powoływały interesa. Łatwo sobie wyobrazić, w jakim stanie została żona, dotknięta tak boleśnie i tak niesprawiedliwie, znękana i rozboleła czytaniem listu córki, którego słowa łzami gorzkimi pisane, utkwily jak owe miecze w jej macierzyńskim sercu.

Gdy p. Jan wrócił, zastał żonę w łóżku, a przy niej Rózię zapłakaną i lekarza, który siedział zamyślony, męczył bakenbardy, jakby chciał z nich wycisnąć jakiś środek, któryby mógł odwrócić nieszczęście jakie przewidywał.

Byłto młody człowiek, przystojny, świątły i pełen tych zalet bezinteresowności i gorliwości, jaką się odznaczała w owym czasie młoda warstwa lekarzy wykształconych w akademii medycznej wileńskiej i w innych krajowych uniwersytetach, a która zastąpiła wówczas i coraz szerzej rugowała owo stare pokolenie doktorów, którzy napływali do nas niegdyś z zagranicy, eksploatując chorą szlachtę w tych samych celach, w jakich inni spekulanci tego samego rodzaju eksploatowali zdrową. P. Karol Rogiński był tamtejszy. Ojciec jego był niegdyś rządcą w Humańszczyźnie; po żonie dostał kapitałik, za który wziął z początku małą dzierżawę, a zarobiwszy na niej przy sprzyjających okolicznościach, przy pracy i oszczędności poszedł na większą, nie zmieniając trybu życia,

nie powiększając budżetu swego żadną niepotrzebną ekspensą, i garnąc troskliwie grosz do grosza, aby się utrzymać w tym stanie niezależności, który ukochał nad wszelką próżność i wygodę, i aby mu wystarczało na pokierowanie syna, który był jedyną jego dumą i największą pociechą. P. Karol nie zawiódł jego oczekiwania. Chlubnie ukończył akademią, i ze stopniem medycznym wrócił do rodziców i osiadł przy nich w tej samej wsi, gdzie mieszkał Tytus, a której najzuważniejszą część, osmdziesiąt przeszło dusz liczącą, ojciec jego dzierżawił. Tam prędko zaprzyjaźnił się z sąsiadem, równie jak on młodym i oświeconym, równie jak on mającym postanowienie użycia do znacznych i szlachetnych celów tej nauki, jakiej oba długą pracą i przejściem przez poświęcającą biedę studencką nabyli. Reputacya jego wzrosła prędko przez samą oryginalność położenia. Nie był to ani wychrzt, ani cudzoziemiec, ale szlachcic; nie osiadł w mieście powiatowem, ale na wsi; nie targował się przy wezwaniu do chorego, nie wymagał koczki i resorów, ale nie namyślając się wcale, własne koniki do własnej bryczki zaprząwszy, spieszył wszędzie, gdzie go powołano, i widać Bóg tak chciał, że zausił wszędzie zdrowie, gdzie przybył. I nie upłynęły dwa lata, a już p. Karol uznany był za najpierwszego w okolicy lekarza, już go o kilka i kilkanaście mil wzywano, jnż po niego koczki, a czasem i karety zajeżdżały. Wiele razy w domu p. Jana, z okazji szczęśliwych kuracyj, jakie się młodemu lekarzowi udawały, mówiono, Rózia z dziwną słuchała nwą, powiększoną przez to, że mieszkał właśnie tam, gdzie Emilka, że musiał pewnie z niemi znać się, być ich przyjacielem, i w każdym razie pospieszyłyby im z pomocą i radą. Te pochwały, jakie p. Karol odbierał, i ten zbieg okoliczności utkwily go w jej głowce, i urniły tam postać interesującą, rozumną i pełną szlachetności, która ją niezmiernie zaciekawiała i zająła.

Gdy po wyjeździe ojca matka zaczęła mdleć, tak że przestraszona dziewczyna docucić się jej nie mogła, gdy potem nastąpiła gorączka i stan taki, który pod wieczór coraz pogorszając się, zatrwał nawet starszych i doświadczeńszych domowników, Rózia wyrzucając w duszy ojcu jego surowość i niesprawiedliwość, przywiedziona do trwogi i boleści, którą opisać trudno, nie pytając się nikogo, kazała zaprządz do powozu i lecić co tchu po młodego lekarza, w którego umiej-

tności i sztuce całą swą nadzieję złożyła. W bileciku, którym zaklinała go na wszystko, aby nie żałował koni i natychmiast przyjeżdżał, dodała jeszcze te słowa: „proszę pana także i zaklinam, abys tak zarządził u siebie w domu, żeby biedna Emilia przez nikogo nie dowiedziała się, że mama chora.“

Bilecik ten zastał szczęściem p. Karola w domu. Wydał więc co prędzej dyspozycyją, stosowną do roztropnego życzenia Rózi, konie p. Jana kazał popaść i potem zwolna jechać, a sam ledziutką swoją bryczeczką w przeciągu pięciu kwadransów dwie te ogromne mile przeleciał. Stan chorej był gwałtowny, ale że pomoc przyszła nie zapóźno, że środki niektóre, jak pijawki i t. p. były w domu, inne p. Karol na wszelki przypadek miał w swojej podróźnej szkatułce, ratunek więc natychmiastowy mógł być dany, i nim lekarstwo przywieziono ze Skwiry i nim p. Jan wrócił, już pierwsze niebezpieczeństwo zdawało się być odwróconem. Wszakże lekarz nie ręczył jeszcze za życie kobiety, na której twarz bladą i nieruchomą przez ciągłą senność, w jaką ją wprawiało zapalenie, poglądał co chwila mąż z wyrazem tajonej trwogi, z wybijającym się na lice jego bólem, z pewnym wyrzutem srogości, który go tajemnie trawił i do stanu ponurego milczenia przywodził. Rózia na krok nie odstępowała matki, nie tuliła się do ojca i nie szukała w jego karesach pociechy i ulgi, ale wiele razy postrzegając wchodzącego lekarza, twarz jej okrywała się rumieńcem, a w serce jej wstępowała nadzieja i pewność, że nie utraci matki, opiekunki kochającej i dobrej, i nie zostanie sama z ojcem, którego surowość straszyć ją zaczynała. Siódmego dnia p. Janowa otwarła oczy, poznała Rózię, zaczęła płakać postrzegłszy męża, który natychmiast wyszedł, zamknął się u siebie i sam płakał. Gdy wkrótce potem p. Karol nadjechał, i przypatrzył się stanowi chorej, podał rękę panience. patrzącej mu z trwogą w oczy, i rzekł z uśmiechem:

— „Teraz możemy sobie powinszować; niebezpieczeństwo minęło.“

Rózia uradowana, chciała przycisnąć do ust rękę młodego lekarza, który naturalnie na to nie pozwolił, a potem odstąpiwszy parę kroków, i patrząc na niego z wdzięcznością i przywiązaniem zawołała.

— „O Boże mój! Boże! czem ja panu zapłacę za to dobrodziejstwo, jakies mi pan wyświadczył.“

— „Podziękuj pani Bogu i idź pociesz ojca“ — odpowiedział p. Karol patrząc z zajęciem i wzruszeniem na tę śliczną dziewczeczkę, na której twarzy malowały się wszystkie uczucia, jakich w tej stanowczej chwili doświadczała.

Pani Janowa miała się coraz lepiej; p. Karol ze dwa tygodnie jeszcze jeździł codziennie, a gdy po godzinach całych siedzieli we dwoje z Rózią przy chorej, której sen był coraz zdrowszym, bardziej umacniającym, rozmawiali z sobą o Emilii, o jej smutnem położeniu, które ją odcina od kółka rodzinnego, o wielkiej dla niej miłości Tytusa, o ślicznem jej dzieciątku, którego sam widok uzdrowiłby babunię, i o innych tym podobnych rzeczach. Czasem Rózia zapytywała go o jego rodzinę; i wtedy p. Karol mówił jej z uszanowaniem o ojcu swym, z miłością o matce i siostrze, wspominał także o sobie, o swoim zawodzie, o kolejach jakie przebył w akademii, o tej radości jakiej dozuaje, że ma tak blisko przyjaciela, który równie pracował jak on, w podobnym jak on niedostatku i niewygodzie dobijał się nauki, wspinał się na ten szczebel, z którego mogłby szerszej spojrzeć na świat i bardziej kochającem okiem ogarnąć ten horyzont, jaki się przed nim odkrywa. Rózia słuchała go z dziwnem zajęciem, twarz jej rozumiała pod słowami wymownego młodzieńca, który czuł się podniecony widokiem takiej sympatii, takiej wdzięczności, jaką w ślicznej tej piętnastoletniej a uad wiek rozwiniętej paniuce postrzegał. Tymto sposobem i dla niego te chwile stały się niezapomniane, a wdzięczność i ta dobroć p. Karola, że jej nie uważał za dziecko, że mówił z nią tak, jak z osobą dorosłą, że uczył ją tem przypuszczeniem, że ona go pojmie i zrozumie, wyrwały w sercu panienci twarz zacnego młodzieńca, i stały się podstawą tego serdecznego przywiązania, jakie dla niego powzięła, które później karmiła w sobie dojrzewając, które z czasem wyrodziło się na miłość, co niebawem całą jej ogarnęła duszę.

Szczęście, jakiego doznawała Rózia, że matka przyszła do siebie, i że wyzdrowienie jej mogła przypisać temu, którego już może kochała, nie wiedząc jeszcze, jakie to jest uczucie, co ją do niego pociągało, było tak wielkie, że zapomniała ojcu, że on był przyczyną tego bólu, jakiego doświadczyła. Przyszła więc do dawnego humoru, dawniejszej wesołości, do dawniejszego nadskakiwania starem, który ze swej strony rad był w żonie

i córce zatrzeć pamięć tych chwil ciężkich, jakie przeżyły. Ale p. Janowa nie przebaczyła mężowi tej rany, jaką sercu jej zadał. Słowa te okrutne i niesprawiedliwe: „żeś zła-mała przysięgę, daną mi przed Bogiem, żeś była złą żoną“ brzmiały ciągle w jej uszach, powtarzały się przy każdej okoliczności, gdy na twarz jego surową spojrzała, i odwróciły jej miłość od tego, z którym dwadzieścia przeszło lat przeżyła, a o którym dziś nie mogła inaczej pomyśleć, jak o człowieku twar-dym, nieludzkim, który swojemu uporowi i zaciętości poświęca jej pokój i szczęście dzie-cka, które coraz mocniejszą ogarniała miło-ścią. Stan ten moralny, przytem trwanie p. Jana przy swoim, wszystkie bowiem wsta-wiania się za Emilką przyjaciół i krewnych nie nie pomogły, podkopał zupełnie jej zdro-wie. Chociaż najtroskliwszemi otoczona sta-raniami męża, córki i młodego lekarza, który często ją odwiedzał, rad swych udzielał i wiadomościami o Emilce i jej dziecku pocie-szał, wiedziała ona coraz widoczniej, gasła z dniem każdym, i nareszcie jednego rana z wielkiem przerażeniem męża i Rózi znale-ziono ją w łóżku martwą i zastygłą.

Smutny ten wypadek nie zmienił bynajmniej położenia starszej córki p. Jana. W ludziach despotycznych nieposłuszeństwo niespodziewa-ne ze strony tych, do których ślepej uległo-ści nawykli, rodzi zwykle zawziętość prze-wyższającą wszystkie względy ludzkości, po-krewieństwa i przywiązania. Trętwieje ich dusza w uporze i postanowieniu; ani prośba, ani żal nieposłusznego nie może wywołać przebaczenia, a choć czasem w sercu ich sta-cza się walka między uporem i litością na widok skntków, które stają się dziełem nie-ubłaganego stania przy swoim, nigdy prawie litość nie zwycięża, bo taki człowiek skutki te nie swemu uporowi, ale nieposłuszeństwu swej ofiary przypisuje. Tym sposobem uspra-wiedliwia się przed Bogiem i sumieniem, że nie on winien niedoli, do jakiej doszło, ale ten, kto ją na siebie samowolnością swą ścigał. Tak usprawiedliwiał się i p. Jan przed sobą samym i trwał w nieubłaganej zacięto-ści, którą wszyscy potępiali. Powiększyła się ona nawet od śmierci żony, która go wiel-kim napełniła bólem i zrobiła jeszcze bar-dziej ponurym i w sobie zamkniętym. Jak bowiem wówczas, gdy czytając list córki, przeniknął się do żywego jej boleścią i stan jej opłakany przypisał nie sobie, ale pobła-żliwości i nieposłuszeństwu żony, tak teraz znowu śmierć żony i to sieroctwo domu, które

uczul głębiej niżby sądzić można, nie przy-znał sobie i niesprawiedliwym wyrzutom, któ-remi ją śmiertelnie zranił, ale nieposłuszeń-stwn tejże córki, która jak mówił jemu za-truła życie i matkę w grób wpędziła. Prózne więc były wszelkie wstawienia się, prośby i perswazye. Emilka żyła jak dawniej o dwie mile od rodzicielskiego domu, tak mu jednak obca, jakby ją od niego morza i łądy oddzie-lały, a Rózia wyrosła i dojrzała sama jedna, walcząc z tą czią i miłością jaką miała dla ojca, który pod każdym innym względem na miłość i na cześć zasługiwał, a tem mimo-wolnem oburzeniem, jakie w niej zawziętość jego względem siostry obudzała. Rozwijająca się w niej także i coraz szerzej i głębiej ogar-niająca jej duszę miłość dla p. Karola, o któ-rego wzajemnem, trwożliwym, ale głębokiem przywiązaniu przekonała się, przyczyniła się jeszcze do tego, że owa swywolna, weso-ła, trzpiotowata dziewczynka, gdy miała lat siedemnaście, zrobiła się kobietą zupełnie doj-rzałą, patrzącą seryo na życie, przyjmującą jego próby z energią i mocą, ale zdolną do postanowienia wcale innego, niż to, do ja-kiego uniosła się miękka i marząca dusza jej siostry.

W takim położeniu znajdowały się osoby, o których mówię, gdy przypadek zrządził, że m je bliżej poznał i o tym ich wzaje-mnym stosunku szczegółową powziął wiado-mość. Mieszkałem wówczas w Kijowie, i wa-kacye przepędzałem w domu przyjacielskim i gościnnym marszałka W** niegdyś mojego krze-mienieckiego kolegi, w którego sercu pamięć szkolnego życia i chwil młodości razem spędzonych została żywą i niezatartą. Marszałek mieszkał o półtóry mili od p. Jana, a o milę od tej wsi, gdzie mieszkała Emilka i gdzie rodzice p. Karola znaczną część dzie-rżawili. Ponieważ marszałek cenił wysoce obudwóch młodych ludzi, Tytusa i Karola, prędko mnie z nimi zapoznał, i zaraz uwia-domił o niemtem położeniu, w jakim się oba znajdowali. Gdym się im bliżej przypa-trzył, postrzegłem że mąż Emilki z większą rezygnacją znosił swój los. Bolał on nad cierpieniem żony, ale nie wyrzucał sobie swe-go postępuku, w tem przekonaniu, że powin-nością jego było uchronić kobietę, która ko-chał, od nieomyślnej zguby, jaka ją w związku z człowiekiem, co się jej narzucał, czekała. Niepokój zacnego lekarza był daleko gorszy. Kochał on niezmiernie Rózię, wiedział że jest od niej kochanym, przewidywał jakim byto-by jego życie z kobietą z takim sercem, z taką

głową, z charakterem tak otwartym, tak pełnym mocy i energii; a jednak pewnym był, że kwiat ten uczuć marnie zwiednieje, że ojciec, który już domyślał się ich wzajemnej skłonności, na związek ich nigdy nie pozwoli, a oni oboje nie odważą się za nic na taką ostateczność, jakiej się dopuściła Emilka, raz że się to sprzeciwiało ich przekonaniu, a powtórze, że los siostry mówił mi i ostrzeżał, że takie wyłamanie się zpod praw dziecięcego posłuszeństwa nie daje szczęścia. Poznawszy Tytusa i jego żonę, oceniwszy charakter, naukę i zasady młodego lekarza, pragnąłem niezmiernie poznać tego ojca, którego postać starodawna rysowała się imponująco w mojej myśli, i tę Rózię, w której dziwne zlanie młodości z dojrzałym poglądem na życie, kobiecego wdzięku z rozumem i energią mężką, o czem mi i przyjaciele jej i kochanek nagadali, niezmiernie mnie zainteresowały.

Wkrótce życzeniu memu stało się zadość. P. Jan zaproszony przez marszałka na obiad przybył wraz z córką. Przyznaję się, że pomimo uprzedzenia przeciw niemu, jakie nieubłagana twardość dla własnego dziecka wemnie obudzała, nie mogłem się odjąć tajemnej sympatii, którą mię ku sobie pociągnął. Czy to sprawił widok tej snki, jedynej w okolicy, tej postawy poważnej, surowej i pełnej śmiałości, tego ujęcia tak różnego od naszej nowej i trochę małpiej ruchliwości, co wszystko przeniosło myśl moją do dawniejszych czasów i postawiło mię w kole postaci, których samo spojrzenie przyniotłoby nasze zmalale pokolenie; czy to sprawiła jego niezwykła dla mnie nprzejmość, i rozmowa jego, która mię od razu nderzyła zdrowiem i siłą myśli, malującej dnszę niezakrytą, mocną i uczciwą, ale wkrótce zapomniałem o mojem do niego uprzedzeniu, i podzielałem wraz z innymi ten szacunek, jaki go otaczał. Rózia ujęła mię niezmiernie. Słuszna, kształtna, z okiem ciemnym, pełnym życia i patrzącem z przenikliwością i słodyczą; z włosem także ciemnym, który lśnił się na czole białem i rozumem; z twarzą zdrową z prześlicznymi ustami, których uśmiech okazywał pojętność i odpowiadał wyraziście na to, co do niej mówiono, wprzód nim odpowiedziała słowem krótkim i stanowczem, wydała mi się powabną, a nawet piękną. Widziałem w niej prawdziwy typ panny polskiej, której zadne małpowanie nie skrzywiło, której próżność nie zdrobniła, która wychowała się w surowej szkole życia, co już wcześniej poka-

zało jej swoją twarz prawdziwą, twarz że tak powiem codzienną i domową, i zdjęła z siebie tę balową toaletę, tę maskę świata, pod którą inne panienki zwykle je znają dłu-go, a często bardzo długo nie wiedząc, co się pod nią ukrywa. Zbliżyliśmy się do siebie niezmiernie prędko. Ja szukałem jej znajomości, a ona uprzedzona przez marszałkową, zem poznał, ocenił i prawie pokochał p. Karola, nie stroniła odemnie, owszem zdawała się uprzedzać moje kroki i szła ochotnie naprzeciw tej życzliwości, jaką wemnie wzbudzała, i tej poufałości, jakiej pragnąłem.

Gdyśmy z marszałkiem odwiedzili nawzajem p. Jana w jego domu, gdzie nas Rózia z całą biegłością dawnej i doświadczon j gospodyni przyjmowała, a marszałek poszedł ze starym obejrzeć jakiś szczegół gospodarstwa, który mnie nie interesował, Rózia rzekła do mnie:

— „Poznałeś pan moją siostrę i jej męża?“

Gdym odpowiedział, jak mię zainteresowali oboje, dodała:

— „Biedna Emilka! cztery lata żyje na wygnaniu, tak blisko od nas, a tak daleko. Przez cały ten czas raz tylko zeszyliśmy się na grobie mamy. Widzenie się nasze było krótkie, bo mię ojciec od furtki cmentarza odwołał i iść kazał. Ale nigdy nie zapomnę, żebym sto lat żyła, jak wstrzęsła się na głos ojca, z jakim bólem rzuciła się potem na mogiłę matki, jakby błagając o wstawienie się za sobą do tego serca, które tam pod ciężkim kamieniem w proch się już obróciło. Gdym się zbliżyła do ojca, widziałam, że był zupełnie zmieniony, blady i jakby ziemią przy-sypany. Rzuciłam się wtedy do nóg jego, błagając, żeby się nad nami obiema zlitował i ducha matki przejednał. Podniósł mię drżą-cą ręką, widziałam, że miał łzy w oczach, a jednak, jak zwykle czyni na wszelkie pro-sby i wstawiania się, odwrócił się tylko i nic nie odpowiedział. Przekonana jestem, że ojciec kocha ją, że jej serdecznie żałuje, a przecież stoi przy swoim z oporem żela-znym, niweczając tym sposobem i swój pokój i nasze szczęście. Jak to wytłumaczyć? i co to komu z tego przyjdzie?“

— „Ojciec pani“ — odpowiedziałem wów-czas — „broni zasady, i kosztem własnego serca stoi przy straży tych praw, które Bóg zlał na rodziców.“

— „Zapewne“ — rzekła Rózia naciskając czoło różowymi palcami — „zasada słuszna, prawa święte. Niebyłoby na świecie porząd-ku, gdyby dzieci samowolnie chciały rozrzą-

dzać swym losem, i rujnowały te plany, które miłość rodzicielska dla nich wysnuwa. Ale są wyjątki. Może ojciec pomylić się w swym wyborze, może córka nie pomylić się w swoim. Czasem instynkt serca młodej dziewczyny mądrzejszy od rozumu starszego człowieka. I tu właśnie jest ten wypadek. Dlaczegoż nie powiedzieć sobie: przekonałem ją i siebie przez lat cztery; przekonałem się że szczęśliwszą jest z tym, którego sama wybrała, niżby była z tym, którego jej przeznaczył. Jej żal i łzy tylolećnie uczyniły zadość zasadzie i prawu; mojemu sercu stało się zadość przez to przekonanie, że dobrze wybrała. Niech więc będzie szczęśliwą, kiedy nią być może, kiedy i ja mogę już spokojnie zamknąć oczy i śmiało stanąć przed zoną, której serce macierzyńskie zgadło od razu to, czego mój rozum mężki nie widział, a raczej widzieć nie chciał. Ja przynajmniej będąc na miejscu ojca, takbym sobie powiedziała i byłby koniec.

(D. n.)

S N Y.

Od dawna już przestaliśmy wierzyć w urojone znaczenie snów, uznawszy je wybrykami rozkiełzanej i samopas puszczonej wyobraźni. Tylko ludy, nie ze wszystkim jeszcze wyrwane z stanu natury, i pojedyncze osoby, omamione zabobonnością, mogą w dzisiejszych czasach poczytywać sny za jakieś tajemnicze objawy przyszłości, za niemyślne wróżby spodziewanego szczęścia lub nieszczęścia.

Wszakże i bez tych wszystkich domniemywanych własności proroczych zawierają sny częstokroć prawdę rzeczywistą. Nie każdy śni jednakowo. Pasterz marzy we śnie o swojej trzodzie, król o swoich krajach, uczeń o ilości błędów w szkolnych ćwiczeniach, autor o recenzji najświeższego dzieła. Każdemu roją i snują się obrazy, odpowiednie własnej indywidualności i zwyczajnemu zatrudnieniu. Ktoby się przytem głębiej nad nimi zastanowił, temu nietrudnoby dopatrzeć w nich istnych upomnień opatrności. Bo ileżto spoczywa w nas namiętności, których nie znamy, nie mając sposobności rozbudzić je w sobie? ileżto gniecie nas przywar, które nam ani przez myśl nie przejdą, bo nie było okazji aby objawiły się światu? Nie możemy ich poznać z naszych zwyczajnych doświadczeń we dnie, bo rozrywki i różnorod-

due zatrudnieniaienne zajmują wyłącznie nasze myśli, i nie pozwalają robić nwał nad tem, co jeszcze nie wystrzeliło na zewnątrz. Przeciwnie we śnie przedstawiają się nieraz te wszystkie wady nasze ukryte w nader jaskrawych obrazach, wywołanych rojeniami rozkiełzanej wyobraźni. Ileżto razy budzimy się ze snu, przerażeni zbrodnią, jakąśmy popełnić mieli w tym stanie! A toż właśnie winniśmy poczytać za upomnienie opatrności, abyśmy taksamo nie postąpili sobie na jawie, jeśli pokusy świata omamią nasze zmysły, jak je omamiła we śnie rozbujana wyobraźnia.

W każdym innem znaczeniu jest sen tylko pianką, powstającą z wrzącego zamieszania naszych zmysłów, uczuć, skłonności i namiętności, podobną do pianki szampana, która sama nie jest winem, tylko skutkiem, wyrobem jego siły żywotnej. A równie jak z piany wina można poznać jego zalety prawdziwe, taksamo możnaby i ze snów sądzić o charakterze i przymiotach duszy człowieka.

Zapuściwszy się w przydłuższą rozprawę o snach, zakończymy ciekawą i prawdziwą anegdotą, wydarzoną w Kairze podczas okropnej dżumy w r. 1835.

Pewnemu kupcowi arabskiemu śniło się wśród najgwałtowniejszego srożenia się moru, że z jego domu wyniesiono i zagrzebano jedynaście trupów. Obudził się śmiertelnie przerażony, bo jedynastka była liczbą miłośników jego domu wraz z nim samym.

Jako prawowierny Muzułmanin powziął ztąd niezbite przekonanie, że tym snem osobliwym objawił mu Ałła jego niczem nie unieknione przeznaczenie. Utwierdzili go jeszcze mocniej w tem mniemaniu liczni znajomi i przyjaciele, którym nazajutrz opowiedział swoje wieszece widzenie. Pobożny Muzułmanin poddał się bez szemrania wyrokowi, i wdzięczny niebu za wczesne ostrzeżenie, oczekiwał śmierci wśród postu i modlitw.

Zaraz nazajutrz umarło mu jedno dziecko, w dzień później żona, a w kilka dni zmiołła śmierć kolejno wszystkie jego żony, dzieci i sługi, tak że nakoniec sam jeden pozostał w domu. Teraz już niepodobna było wątpić o dalszem spełnieniu przepowiedni. Przekonany że jako jedynasty w liczbie musi wkrótce pożegnać się z światem, przywołał krewnych i przyjaciół, i rozporządziwszy w ich obecności wszystkim swoim majątkiem, ułożył się w łóżko, i rzekł:

— „Być może że umrę jeszcze tej nocy. Przyjdźcie do mnie jutro albo pojutrze; jeśli

w ciągu tego czasu Ała powoła mię istotnie już do siebie, tedy z miłości bliźniego zajmijcie się moim pogrzebem, i wyświadczenie mi ostatnią przysługę, a Prorok odpłaci wam niebem ten czyn miłosierdzia. W kącie mego pokoju znajdziecie już przygotowaną tramnę i śmiertelną koszulę. Jeśli jutro rano będą zamknięte drzwi mojego mieszkania, tedy wywalcie je przemocą bez wszelkiego zachodu.“

Poczem owinął się w kołdrę i próbował zasnąć. Atoli strach, żal za życiem, rozpamiętywania sumienia i inne tysiączne myśli i uczucia, całkiem naturalne w podobnej chwili, nie dozwoliły skleić się jego powiekom. Czując spoczywał na łożu, i oblany zimnym potem, czekał przybycia anioła śmierci. A imbardziej ciemniało w pokoju, temwięcej wzmagał się jego popłoch, tem srożej dojmowała mu okropność położenia.

Nagle zaszleściła coś koło niego, i jakaś postać zarysowała się w ciemności.

— „Kto to?“ — zawołał Muzułmanin, napwół nieżywy z przestachu.

— „Uspokój się!“ — zagrzmiął surowy i uroczysty głos. — „Jam Azrael, anioł śmierci.“

— „Ach!“ — jęknął nieszczęśliwy Arab, i zaczął mrużyć zwyczajną modlitwę muzulmańską. — „Jeden jest tylko Bóg a Mahomet jego prorokiem. W Bogu silnym i potężnym jedyna ucieczka, jedyne zbawienie. Bogu należymy, do niego musimy powrócić.“

Po tych słowach zaciągnął kołdrę na głowę, i oczekując z bijącym sercem nieuniknionej chwili zgonu, polecał się dalej miłosierdziu Proroka.

Lecz przemijały chwile a nawet całe godziny, a Azrael nie zbliżał się do łoża. Biedny Arab trwał ciągle w okropnem położeniu, a nie śmiąc wierzyć w ocalenie, nie przestawał mrużyć pacierzów, pewien że lada chwila dopełni anioł swego posłannictwa.

W ciągu tego czasu zaświtało na niebie, biały dzień zajaśniał w pokoju, a wnet przybyli sąsiedzi i znajomi przekonac się o spełnieniu proroctwa. Niepewni czy okryty z głową Arab żyje lub rozstał się z światem, zawołali nań z progu.

— „Nie umarłem jeszcze“ — odpowiedział słabym głosem — „lecz anioł śmierci był u mnie o zmroku, i powróci zapewne lada chwila.“

— „Dlaczegoż pozostawiłeś otworem główne drzwi wchodowe?“ — pytali dalej sąsiedzi.

— „Zasnąłem je był na rygiel, zapewne anioł śmierci rozwarł je, wstępując w progi moje.“

— „A ktoż jest ten obcy człowiek na twojem podworzu?“

— „Nie wiem o żadnym obcym człowieku. Może to anioł śmierci, czatujący na moją duszę, wydał wam się w zmroku człowiekiem.“

— „O nie! To złodziej“ — odpowiedziano mu jednozgodnie. — „Uoosił z sobą co tylko mógł zagarnąć, lecz na podworzu zaskoczyła go dzuma, i skołał nędznik na swoich łupach, trzymając w ręku srebrny lichtarz.“

Skoro nawpół nieżywy Muzułmanin posłyszał te słowa, porwał się, i odstawiając głowę, skoczył na równe nogi.

— „Chwała niech będzie Bogu i jego prorokowi!“ — zawołał uradowany. — „Oto jedynasty trnup mego domu, jam ocalony! Ten łotr mienił się aniołem śmierci, i zatoż skończył jak zasłużył. Chwała Alle, chwała Alle!“

I od tej chwili zupełnie uspokojony, przystąpił Arab do swoich zatrudnień zwyczajnych, a uszedłszy wtedy rzeczywiście śmierci morowej, po długich latach lubił jeszcze opowiadać swój sen cudowny.

„Koza“ w znaczeniu więzienia. Używany dziś powszechnie w potocznej rozmowie wyraz *koza* w znaczeniu więzienia, nie znalazł jeszcze wyjaśnienia pod względem etymologicznym. Chciano wprawdzie najnowszymi czasami wyprowadzić go od francuzkich wyrazów *cachot*, więzienie, lub *cause*, sprawa sądowa, wszakże obadwa te wykłady nie wychodzą w niczem z granic prostego przypuszczenia. Co do nas, próbowałibyśmy poszukać gdzieindziej wyjaśnienia w tej mierze, i w tym celu przypomnimy tu następującą okoliczność z dawnego postępowania karnego. Wyczytuje ją z dzieła *Damhudera Practica criminalis*, wydanego w Antwerpii r. 1601, a traktującego o różnych rodzajach mąk torturowych. Wyliczając nieskończony szereg najrozmaitszych i najdziwniejszych narzędzi i przyrządów tortury, przytacza autor między innymi: „Był także rodzaj tortury za pomocą *kozy*, odbywający się w następujący sposób: Winowajcy, przywiązaniemu powrozami do ławki, oblewano nogi solną ropą, poczem przypędzano kozę, która łakoma soli z jaknajwiększą chciwością rzucała się na nieszczęśliwego, i liżąc mu stonę podszwy, sprawiała męki okrutne.“ Nie miałaby pamięć tego procedern kryminalnego, połączonego często z więzieniem, przechować się aż po czasy dzisiejsze w naszym przenośnem znaczeniu *kozy*?

Karczmy polskie. Jedna z polskich autorek pisze o nich co następuje: „Wielu naszych ziomków, szczególnie takich co choćby nogę postawili za granicą swojej ziemi, żżyma się, rzucając klątwy na karczmy polskie. Prawda że bogacze, którzy przywykli że za pieniądze wszystko im spieszy z usługą, nie znajdują w nich wygod, które nawyknięcie zrobiło koniecznemi, ale dla klasy ubogiej, jaką jest znaczniejsza część naszej ludności, karczma polska to

prawdziwy dom gościny. Dach, izba ogrzana, garść słomy do posłania dzielają się każdemu bezpłatnie. Sęto dary gościnności. Za resztę kto ma grosz w kieszeni płaci według możności, żąda lub nie żąda usługi lub dostarczenia według woli, miarkując wydatki zasobem swojej kieszeni. O gościnę nie trzeba nawet prosić, nie trzeba jej szukać, sam kształt budowy już ci powiedział, gdzie dom w którym wszystkim radzi, gdzie przyjmują o każdej porze doby. Nie mówiąc ani słowa nikomu, wjeżdżasz w szerokie wrota, i już gospodarujesz jakby we własnym domu. Jakże ten przysłupek jakkolwiek lichy jest pożądanym dla podróżnego zziębniętego, zbitego nie pogodą, przejeżdżającego w noc głuchą! Jak dobrze zjechać bez ceremonii, rozgościć się, ogrzać i położyć choćby na słomie. A czy wiele czy mało dasz utargować, gospodarz izby ma sobie za obowiązek służyć ci jakby twój własny lokaj, sprzedając twoje potrzeby, uprzątając wszystkie trudności, nie pytając czy będzie wola twoja wynagrodzić jaką bagatelą trud jego. Za granicą naszego kraju, prawda że znajdziesz porządny pokój, czystą pościel, dobrą wieczerzę, zręczną usługę, jeżeli masz worek dobrze opatrzony, ale dla ubogiego nasze karczmy sto razy gościnniejsze. A lepiej że bogaty skosztuje kiedyś kiedyś strawy ubogich, i zaznami się z jej smakiem, niż gdyby ubodzy widzieli ponad drogą wzniesione gmachy, opatrzone wygodami, do którychby ubóstwo nie dawało im przystępu. Zwyczaj narodu wyrabia potrzeba większości. U nas widno że jeszcze nie przyszła pora na inny porządek rzeczy. Dowodem tego że gdziekolwiek po gościńcach (mówię o wsiach nie o miastach) urządzono traktyery lub stancje trochę wygodniejsze za opłatą, do takich karczem uprzywilejowanych mało kto zajecha, ogół ich unika. Nie mówię o chłopach tylko, ale i o szlachcie mniej zamężnej, której u nas liczba przemagająca. Nie ulega wątpliwości że późniejsze pokolenia będą oglądać na naszej ziemi inny porządek rzeczy, że postępek przemysłu, zrodzony duch spekulacyi zaprowadzą u nas zmiany, które dziś wielu uważa za bardzo pożądane, ale świadkowie tej epoki może westchną za cnotami, które teraz nie są ocenione, a które gdy znikną, pamięć je zaliczy do czasów naszej Astrei. Wówczas może i nasze gościnne karczmy, dziś taką okrytą wzdargą, stanowiąc jeden rys więcej w ogólnym obrazie, zasłużą na uwagę, a obraz ten postawiony w pewnym oddaleniu, pozwalający się objąć w harmonijnej całości, będzie może bardziej zajmującym, bardziej zrozumianym i ocenionym niż rozpatrywany na zbyt bliską metę.“

Kobiety doktorowie. W Bostonie, Filadelfii, Syracuse, Clevelandzie i Cincinnati, w północnej Ameryce istnieją od niedawna medyczne fakultety, na których same tylko kobiety osiągają stopnie doktorów medycyny. Najrzęczniejszymi lekarzami w Nowym Yorku są w przeważnej części kobiety, promowane na doktorów jużto w Ameryce samej, już po uniwersytetach angielskich. Między niemi słyną szczególnie panie dr. Elzietta i jej siostra dr. Emilia *Blackwell*, *mis Maria Jankowsky* i Polka dr. *Zakrzewska*, o której wspominały niedawno dzienniki warszawskie. Jeden z takich kobiecych lekarzy pani *Lydia Fowler* jest profesorem w kolegium hydropatycznym, a jej publiczne wykłady fizjologii szczyły się niezwykajnie wielką liczbą słuchaczy.

Nowa roślina. W botanicznym ogrodzie w *Chelsea* wzbudza powszechne podziwienie pewna nowa roślina, przewyższająca pięknnością i wspaniałością kwiatu samą nawet *Wiktoryę reginę*. Jestto takzwana *Ouwiranda fenestralis*, przywieziona z Madagaskaru przez znanego misionarza *Ellis*. Największą osobliwością tej rośliny są liście, składające się z drobnych i niezmiernie cienkich niteczek spojonych z sobą i otoczonych dokoła nieco grubszą obrączką, przeco każdy liść osobny wygląda jak mała zgrabna siatka, utkana z najdelikatniejszych koronek brabantkich. W ogrodzie w *Chelsea* spoczywa ta piękna roślina pod obrzyciem szklannem nakryciem, chroniącem ją od silniejszych powiewów wiatru, i pozwalającem podziwiać ją w całej wielkości. Najlepszą temperaturą dla jej życia i wzrostu jest 19 stopni podług Réaumura.

Wóz pogrzebowy. Po ulicach Pekinu uwija się we dnie zwolna i uroczyście długi i głęboko złożony wóz, przeznaczony do zbierania i wywożenia dzieci nieżywych. Znany podróżnik rosyjski *Tatarynow* opisuje go w następujący sposób. „Wóz pogrzebowy ciągniony wolami przejeżdża we dnie całe miasto od końca do końca, a każdemu wolno włożyć do niego dziecię nieżywe bez najmniejszego oznaczenia jego nazwiska, pochodzenia lub rodzaju śmierci. Potrzeba tylko dać wóźnicy jakiś niewielkie wynagrodzenie pieniężne. Uzbierane w ten sposób trupy dziecięce, składają w pewnym umyślnie na to przyrządzonym budynku na południowo-zachodnim przedmieściu. Po dwóch, trzech dniach, gdy liczba zwiezionych trupów zapełni całe wnętrze budynku, kopią wielki rów i palą w nim psujące się ciała.“ Chińczycy utrzymują że dusza ludzka w dziecięctwie nie jest jeszcze zupełnie wykształconą, a dzieci zmarłe przed ósmym rokiem, uznają niegodnymi pogrzebania w grobach familijnych. Zdaje się że rząd urosło w Europie mniemanie, jakoby u Chińczyków dozwoleństwem było dzieciobójstwo.

Ubranie z pończob. Nagła śmierć *Legera*, pierwszego fryzjera wielkiej opery paryskiej, wywołała serdeczne ubolewanie w całym świecie eleganckim. *Leger* był nieprześcignionym mistrzem w swoim zawodzie, a przytem oryginałem w całym znaczeniu tego słowa. Przystępując do utrefienia powierzonej sobie głowy kobiecej, zaczynał zwyczajnie od chaotycznego wzburzenia włosów. Złożywszy potem ręce w tył jak Napoleon, zanurzał się w głębokie zamyslenie, i dopiero po kilku chwilach zadumy, rozjaśniał czoło i chwycił grzebień jak Paganini smyczek. Potrzeba go było wtedy widzieć z jakim natchnieniem w całej postaci i jaką zręcznością w rękach uwijał arcykunsztowne sploty, i nieraz do najdziwaczniejszych uciekał się wynysłów. Pewnego razu wplotł w bujny włos pewnej pięknej Paryżanki parę pończoch jedwabnych, pozostawionych przypadkowo na pobliskiem krześle. Nie mając czasu do powtórnej fryzury, musiała nieszczęśliwa elegantka pokazać się w takim ubraniu licznemu towarzystwu. Lecz jakież było jej zdumienie, gdy wszedłszy do salonu wywołała powszedniy szmer podziwiania, a tak mężczyźni jak i kobiety nie mogli znaleźć pochwał dla jej niezwykajnego a nader gustownego ubrania. Wszystkie elegantki dopytywały się na wysci o jej fryzjera, a szczęśliwy *Leger* przyszedł tym sposobem do tem większej reputacyi.